



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Kobieta w XIX wieku (Prelekcja p. Eugenjusza Pelettana) — Zielone Okruchy, fotografie bez retuszu zdjętą z natury, Wołody Skiba. — (Wiersz). — Przyczynki do historii literatury powszechnej. — Korespondencja z Wiednia. — Pogadanka. — Wiadomości bibliograficzne. — Doniesienia literackie.

Kobieta w XIX wieku.

(Prelekcja p. Eugenjusza Pelettana).

(Dokończenie)

Od najdawniejszych czasów, niestety! i dziś jeszcze, powątpiewają niektórzy o rozumie kobiet. Rozum kobiet! gdzież on jest, w czymże się objawia? pytają. To pytanie jest największą niesprawiedliwością. I tak, kodex praw przyrodzonych, nigdy prawie kobiecie nie przyznaje słuszności ani rozumu, zaś kodex praw pisanych uznaje widocznie, że rozum kobiet równy jest rozumowi mężczyzny, skoro za jednakie przewinienia jednakie zupełnie wymierza im kary. Ale dajmy pokój kwestji, mogącej doprowadzić nas za daleko, i tylko uznajmy stanowczo, że kobieta jest równie jak mężczyzna istotą rozumną; co zaś do ilości czyli miary rozumu, jest to rzecz bardzo względna, i gdyby nawet można było dowieść, że rozum kobiet słabszym jest niż męzki, to w takim razie jeszcze troskliwiej należałoby zająć się jego rozwojem, gdyż według wszelkich zasad medycyny, organa osłabione wymagają koniecznie leczenia i wzmocnienia. Rozwijajmy więc i wzmacniajmy rozum kobiet odpowiednio do jego ustroju, i w tym celu uczmy je gruntownie historii, bo ona daje nam siłę i doświadczenie. Znając dobrze historję, nie swoim tylko żyjemy życiem, ale poniekąd życiem całej ludzkości, i każdy z nas liczy wówczas nie swoje przeżyte lata, nie swoim tylko cieszy się doświadczeniem, ale poniekąd na lat cztery tysiące i wzbogaca się doświadczeniem nabytem przez wszystkie ubiegłe wieki. Dalej uczmy je nauki gospodarstwa domowego i higieny.

Dotąd w większej części krajów europejskich, nie wolno kobietem uczęszczać na medycynę: we Francji w ostatnich czasach zrobiono małe wyjątki, z tem jednak zastrzeżeniem żeby otrzymawszy dyplom, korzystały z niego w Algierze. Ameryka innym poszła torem: dziś już posiada trzy wielkie Akademje medyczne dla kobiet, w Bostonie, w Filadelfii i w Syrakuzie, i mówiąc rawiasem, najznakomitszym chirurgiem w całych Stanach-Zjednoczonych, jest dziś: kobieta.

Któż nie uzna jak zjawieną byłaby dla matek znajomość higieny. Ileż to uniknęłyby cierpień, ilu strat bolesnych, żalobą nie raz całe ich pokrywających życie.

Dziecię zasnęło; troskliwa matka czuwa nad jego kolebką; w tem krzyknęło! Jeśli matka nie ma po-

jęcia o medycynie, krzyk ten staje się zwiastunem śmierci... To krup, choroba straszna, która w kilka, w parę godzin porywa swoją ofiarę. A ileż to dzieci schodzi ze świata skutkiem nie odpowiedniego ratunku i nieznanomości najprostszycy zasad higieny. Pod tym względem Belgja wyprzedziła Europę: dopóki nie pójdziemy jęj śladem, dopóki wszystkie, choćby nawet elementarne szkoły, nie obejmą programem swoim mniej więcej obszernego kursu higieny, edukacja kobiet nie odpowie swemu zadaniu, i zawsze pozostanie zacofaną.

Teraz z kolei przystępuję do jednej jeszcze nauki niezbędnej dziś kobietom, chcę mówić o filozofji. Co! kobieta filozofką! wykrzyknie wielu mężczyzn a nawet i kobiet, — ale nie dziwi mnie to; dawna to już zasada, iżby chcąc kogoś uciemiężyć, użyć go samego za narzędzie ucisku. Tak postępowali dotąd mężczyźni z kobietami, nauczywszy się zapewne tej swojej dyplomacji od Chińczyków, którzy także potrafili wmówić w swoje kobiety, że najlepiej im będzie chodzić, gdy wcale chodzić nie będą mogły.

Prez więc z szyderstwem! minęły już te czasy kiedy nauka okrywała kobietę śmiesznością; dziś jeśli chce dobić się należnego sobie stanowiska i rozwinąć całą godność swoją, musi się uczyć gruntownie, musi pracować. Cóż więc rozwija i wzmacnia rozum jak nauka filozofji? Wiele osób utrzymuje że kobiecie wystarcza religja, — błędne mniemanie! Religja jest rzecz wielka i święta, ale ona uczy nas wierzyć, a filozofja uczy myśleć, a tem samem pojmować wzniosłość i bożkość wiary, powinny więc uzupełniać i posiłkować się wzajemnie.

Wielu zacofanych rutynistów, po dziś dzień jeszcze nie waha się twierdzić, że rozum kobiecy nie podoba zadaniom filozoficznym, a jednak ciż sami nie zaprzeczają, że zdolny jest objąć najwznioślejsze prawdy religijne. A czyż rzeczywiście religja i filozofja nie o jednych traktują zadaniach? Czyż nie mówią o duszy i jęj nieśmiertelności, o Bogu, o nieskończoności i o istocie rzeczy? Ale może mi ktoś odpowie, że w takim razie tym więcej można poprzestać na samej religji — bynajmniej. Religja z zewnątrz wprowadza wiarę do naszego rozumu i sumienia, filozofja zaś roztacza prawdę wypływającą z wnętrza naszej istoty. Ja człowieka potrzebuje koniecznie wzmocnienia i rozwoju, należy więc jak najsilniej wyrabiać w kobiecie poczucie własnej godności, nauczyć ją myśleć i czuć samej przez się, bo

w tem spoczywa cała jęj siła i bezpieczeństwo. Jeśli tylko przez innych będzie czuć i myśleć i zawsze zmuszona będzie cudzej przyzywać pomocy, nieustannie zagraża jęj niebezpieczeństwo, i może zginąć zanim się spostrzeże, zanim zażąda rady spowiednika.

Niech więc kobieta uczy się rachować tylko na siebie samą, niech coraz mężniejsza i pewniejsza siebie przypomina ową starożytną Ceres, przesuwającą rękę po grzywie lwa poskromionego, niech śmiało spogląda w życie i nie lęka się skał jego.

Teraz zastanówmy się chwilę jakie są prawa i obowiązki kobiety, która skończywszy edukację, została żoną. Tylko nie szukajmy rozwiązania w kodexie cywilnym, bo jakkolwiek mieści się w nim rozdział, p. t. *O wzajemnych prawach i obowiązkach małżonków*, jednak w treści widzimy zupełnie co innego. Ani śladu *wzajemności*, wszystkie prawa przysługują mężczyźnie, wszelkie powinności obciążają kobietę, a ów artykuł. „Mąż winien żonie opiekę, żona zaś winna mężowi posłuszeństwo“ jest najgroźszą dla obojga zniewagą. Czemże byłby mężczyzna, który sam nie poczuwałby się do tego obowiązku, i dopiero kodex musiał go do niego zniewalać? Możnaż bezwarunkowo stanowić, że kobieta winna mężowi bezwzględne posłuszeństwo? Więc nawet i w razie jeśli jęj sumienie i religja sprzeciwia się temu? I na cóż jakby na żarty stanowić podobne artykuły prawa, zbytne lub niemożliwe? Czemże nie określić lepiej tego posłuszeństwa i ograniczyć go do rzeczy godziwych i sprawiedliwych? Możeby wtedy nie tak często, niestety! praktykowało się odwrotnie.

W dobrze dobranym, prawdziwie chrześcijańskim małżeństwie nie ma dwóch istot, jednej rozkazującej drugiej spełniającej rozkazy; jest tylko mąż kochający żonę i żona kochająca męża, a gdzie panuje szacunek i przywiązanie tam nie istnieje rozkazowanie ani ślepe posłuszeństwo, zastępuje je podział pracy, i jedność przeznaczeń.

Praca jest przeznaczeniem człowieka; chociażby więc ktoś największy po rodzicach odziedziczył majątek, nie uwalnia go to od pracowania na swe utrzymanie, i wypłacenia tym sposobem długu jaki zaciągnął względem społeczeństwa. Nie myślę bynajmniej powstawać przeciw kapitałowi, który jest wytworem oszczędności i przedstawicielem minionych poświęceń, ale jest coś stokroć od niego wyższe i świętsze — praca, i biedak pracujący w pocie czoła który skutkiem niewysłownych trudów, zaparcia siebie i odmawiania sobie najprostszycy potrzeb

zdołał zaoszczędzić pierwszy grosz mający być podstawą przyszłego kapitału. O wierzącym mi! najostatejniejszy z takich pracowników, wart stokroć więcej niż wszyscy ci nieużyteczni próżniacy, marnujący bezmyślnie zasoby i oszczędności zgromadzone przez przodków. Jakże to piękny przykład dają nam Amerykanie, ten lud pracowity aż do bohaterstwa, tam najogromniejsze, bajeczne niemal majątki nie uwalniają od pracy; to też ożywiony tą myślą, bogaty Amerykanin, hojnie szafuje swoim majątkiem dla dobra publicznego lub na cele dobroczynne, a sam nie usuwa się od pracy. Tak więc kobieta i mężczyzna są zarówno obowiązani pracować, tylko mężczyzna po za domem, a kobieta w domowym ognisku. Do niej należy kierunek i zarząd domu, a nadewszystko kształcenie młodzieńskich dusz, które Opatrzność powierza jej pieczy, aby je wychowała na godnych i użytecznych krajowi obywateli.

Pozwólcie mi przyrównać dobre małżeństwo do rządu konstytucyjnego. Mąż jest ministrem spraw zagranicznych, żona spraw wewnętrznych, a wszystkie kwestje gospodarskie winny być roztrząsane na radzie ministrów. Dalej dodałbym jeszcze dwie teki ministerjalne, dochodów i wydatków; pierwszą piastowałby mąż, drugą żona, tylko niechby się starała stosować do budżetu zwyczajnego, pamiętając na to, że budżety nadzwyczajne rujnują najpotężniejsze państwa.

Lecz obok obowiązków rodzinnych, obok poświęcenia się dla męża i dzieci, kobieta ma jeszcze równie święte obowiązki względem siebie samej, winna więc pracować gorliwie nad własnym swoim postępem i udoskonaleniem. Postęp, według mnie, jest to rozwój życia fizycznego przez większą działalność, rozwój życia moralnego przez silniejsze uczucia i rozwój życia umysłowego przez rozszerzanie nauki i wiedzy. Kobieta ma prawo i obowiązek zmierzać do udoskonalenia siebie samej, zarówno jak wszyscy mamy obowiązek dążyć do udoskonalenia całej ludzkości, bo nie jesteśmy jedynie tylko pracownikami, kupcami, przemysłowcami lub urzędnikami, ale przede wszystkim jesteśmy ludźmi, a więc podniesienie i udoskonalenie człowieka przez nas samych, jest najgłówniejszym i ostatnim życia naszego celem. Jest to powinnością zarówno mężczyzny jak kobiety; potrzebuje ona wznieść i uzacnić wewnętrzną swą istotę przez najwznioślejsze uczucia i idee tegoczesne choćby przez wzgląd na te godziny smutku i samotności, gdy dzieci jej wyjdą za mąż lub dla nowych odstąpią ją obowiązków i pozostanie sama z myślami i Bogiem.

Kobieta jest członkiem społeczeństwa równie jak mężczyzna, a więc powtarzamy raz jeszcze, ma ona jednakie z nim prawa i obowiązki, a jeśli może zawczasie jeszcze domagać się politycznego równouprawnienia kobiet, to dziś już przez sam wzgląd na męża i dzieci, nie wolno jej być obcą i nie zajmować się sprawami społecznymi. Pani de Stael powiedziała bardzo dowcipnie: „W kraju w którym kobiety wstępują na gilotynę, służy im wszelkie prawo wiedzieć co tego powodem“ a ja dodam jeszcze: w czasach kiedy kobietom wydzierają kochanków, braci, mężów, dzieci, aby ich oddać do wojska i wysłać na krańce świata, mają one także wszelkie prawo wiedzieć czemu i dla czego?

Powiem więcej: nie tylko kobiety mają prawo, ale nawet obowiązek wyrobienia sobie własnych opinii i przekonań. „Kobiety amerykańskie stworzyły Amerykę, mówi pan de Tocqueville“ oby kobiety nasze mogły i chciały iść ich śladem!

Daremnie dowodzą niektórzy że polityka jest niewłaściwą lub niedostępną kobietom; dzieje świata przekonują że od najdawniejszych czasów brały w nią żywy udział i wielki wpływ wywierały. Jeden ze znakomitych angielskich mężów stanu, powiedział: „We wszelkich sprawach państwa kobieta ważną odgrywa rolę; nie zawsze jest to widocznym, ale zbadać pilnie grunt rzeczy, a przekonasz się o prawdziwości słów moich.“ Gdy Napoleon wysłał arcybiskupa de Pradt jako ambasadora, własną ręką zacytował na jego listach uwierzytelniających: „Nadewszystko staraj się ująć i pozyskać kobiety.“

Hrabia de Maistre, reprezentant króla sardyńskiego

go przy dworze petersburgskim, najusilniej nalegał na swego króla, aby mu co prędzej przysłał jakiego młodego i pięknego Włocha, któryby ślicznie tańczył i śpiewał, by, jak mówi za jego pośrednictwem wyzyskiwać od żon tajemnice mężów. Tak więc zawsze i wszędzie kobiety wywierały wielki wpływ na politykę, nie chcemy więc żadnej wprowadzać nowości, tylko żądamy regularnego handlu, zamiast, jak się to dziś najeźściwiej dzieje, przemycania i kontrabandy.

Przynajmniej więc jawnie kobiecie wszelkie prawo poznania i zgłębiania wszystkiego co się w około niej dzieje, jaką jest przeważnie panująca idea, jaki system przeważa w naszym wieku, co dzieli i niepokoi opinię publiczną, bo jako pierwsza nauczycielka syna, powinna umieć odpowiedzieć dziecku, gdy jej zapyta, co to jest kraj i swoboda? Wszakże nie żądacie aby wtedy wzorem Makbeta, położyła palec na ustach, mówiąc: cicho! są to rzeczy o których mówić się nie godzi! O przeciwnie! niech te słowa, najświętsze w mowie ludzkiej, po raz pierwszy z ust matki spadną na czoło dziecięcia... i pozostaną tam na wieki przykute jej pocałunkami.

Możnaby tu jeszcze przytoczyć nie jedną kwestję moralno społeczną odnoszącą się do kobiet, dowieść możności powierzania im niektórych urzędów, ale będzie to treścią oddzielną prelekcji.

Dzięki niebu dziś już kobieta XIX wieku jest panią siebie, swój duszy i swego sumienia; wyrobiła już w sercu swoim szlachetne poczucie godności i dumy jakimi ją przejmują pojęcie wielkich swoich i świętych przeznaczeń, niechże je na wieki przechowa w swój duszy. Dotąd poniżano kobietę przedstawiając ją jako słabą i bezmyślną istotę, ja pragnąłbym zbudzić w każdej doskonałe pojęcie jej wzniosłości i siły. Niech kobietą przyszłości będzie *kobieta męzna*, jakiej doskonały wzór przedstawia nam pismo święte; niech każdy kraj pochłubi się choćby jedną Kornelją, a świat będzie zbawiony.

Na tem kończę to krótkie przemówienie moje o kobiecie XIX wieku. Nie ma w niem nic nowego, nie czegoby dawno nie powtarzał wam głos własnego serca i rozumu. Zachowajmy więc te wzniosłe zasady sprawiedliwości, te uczucia nieodłączne tak od naszych praw jak i obowiązków. A gdy nareszcie wybije godzina kiedy przyjdzie nam świat ten porzucić, gdy spoglądając po za siebie i obok siebie, ujrzymy się otoczeni chlubnym zastępem wszystkich naszych dobrych uczynków, wszelkich poświęceń i ofiar poniesionych nie tylko dla swoich ale dla całej ludzkości, o! wtedy będziemy mogli patrzeć spokojnie na życie ubiegające wraz z wszelkimi swymi nędzami i niesprawiedliwościami! Niech wicher dom nasz przewróci, niech porwie i uniesie wszystko co mamy najdroższego, nasze systemata, idee i przekonania, jak burza słomkę unosząca z pola, dumnie podniesiem czoło, i z ręką na sercu głos sumienia naszego wyszepcze: mogę umierać, bo dobrze żyłem!

J. Belejowska.

ZIELONE OKULARY.

FOTOGRAFJE BEZ RETUSZU

zdjęt z natury

Wołody Skiba.

I.

Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, powiada przysłowie. — nie ma tak wielkiego człowieka żeby wydawał się wielkim w oczach swojej kucharki, powiada zdanie, które się już prawie przysłowiem stało. — Żaden najpoważniejszy człowiek nie jest tak poważnym, żeby często nie był komicznym, zwłaszcza gdy jest sam, powiadamy my tutaj, a zdanie nasze, gdy je przykładem udowodnimy, gdy je ktoś zręcznie od nas wyrazi, będzie miało może szczęście być również często powtarzanem jak dwa poprzednie. Naszem zdaniem autorowie dramatyczni, tworzący charaktery poważne nie minęli by się z prawdą, gdyby uroczyście swym bohaterom niekiedy pozwalali dopuszczać się monologów humorystycznych. Wyjawszy solenne okoliczności życia,

na dziesięć wypadków w dziewięciu powaga jest matką, którą radzi rzucamy gdy nas nikt nie widzi, i wtenczas nawet, gdy w głębi ducha poważnie nastroszeni jesteśmy, objawiamy to na zewnątrz czynnościami i ruchami zupełnie odrębnymi od zwykłego naszego zachowania się w obec ludzi.

Tak naprzykład nasz bohater pan Jan, człowiek poważny stanowiskiem, wiekiem, usposobieniem, był w chwili rozpoczęcia tej powieści urzędnikiem liczącym około piętnastu lat służby, właścicielem kamienicy dwupiętrowej i pretendentem do łysiny, która mu czoło o parę już cali podniosła. Jakkolwiek miał zaledwie rok trzydziesty szósty, był mężem patrzącym na wszystko z punktu godnego swego towarzyskiego stanowiska i w całym obejściu swoim z ludźmi dający co chwila dowody, że jakkolwiek kawaler jeszcze, wyszedł już z tej kategorii, którą zbiorowo nazywają młodzieżą. Zostając jednak sam oddawał się zajęciu, o któreby go nikt nie posażił i do którego zapewne przed nikimby się nie przyznał.

Szczęściem że nikt tego nie widział, gdyż reputacja pana Jana, jako poważnego człowieka, urzędnika, obywatela i męża wytrawnego sądu, mogłaby na tem ucierpieć niemało.

Drzwi były zamknięte z wewnątrz, w oknach zapuszczone rolety, ściany o ile przypuszczać się godzi wolne od otworów wywierconych przez ciekawych sąsiadów, przez sufit nie zaglądało słońce i gwiazd w nocy widać nie było, gdyż pan Jan nie był poetą, a kamienica jego nie była chatką w lesie, która jest jak wiadomo ostatnim celem poetycznych marzeń, — słowem bezpieczeństwo było zupełne, bez interwencji diabła kulawego, żadne oko ludzkie widzieć nie mogło co pan Jan robił siedząc przy stoliku.

Pan Jan siedział przy stoliku i dumiał... to nie, że dumiał, lecz dumając wdychał, a były to westchnienia tak głębokie i tak często powtarzane, że mamy prawo twierdzić, iż żaden poważny człowiek w czyjej bądź przytomności takich westchnień by się nie dopuścił.

Nie dosyć na tem. Po pewnej liczbie westchnień coraz przeciąglejszych i głębszych, pan Jan wy dobył na stół ręce, które dotąd trzymał w kieszeni, przypatrzył im się przez chwilę, potem unosił je nieco w górę, złożył palec w ten sposób, że tylko wskazujące pozostały wyprężone, zamknął oczy i zaczął na pamięć zbliznąć dwa swe indeksa do siebie, to znów oddalać je, powtarzając za każdym takim poruszeniem.

— Kocha... nie kocha... kocha... nie kocha... kocha.

O wdychaniu niech tam już sobie kto chce jak chce mówi, nie będziemy się spierali i gotowiśmy dać w siebie wmówić, że w ostateczności człowiek poważny nie przestając być poważnym, może sobie pozwolić westchnienia, lecz że taka kabalka leży zupełnie po za granicami powagi o to się nikt pewno uparcie sprzeczać nie będzie.

— Pięć razy trafiłem na kocha, cztery razy na nie kocha, — rzekł do siebie pógłosem pan Jan, ukończywszy tę ślepa babkę wskazujących palców, większość za kochaniem, to prawda, ale większość bardzo słaba.. jeden głos... chciałem powiedzieć, jeden palec... Gdyby serce moje było ministrem odpowiedzialnym, toby się podało do dymisji... ale czyż serce jest odpowiedzialne za to co robi?

Z tego monologu można już wnosić, że pan Jan był zakochany, ale zakochany jest to wyraz mający wiele znaczeń, wypada nam więc powiedzieć jak był zakochanym pan Jan.

Otóż trzeba nam przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że w rozmowach jakie z sobą samym miewał, pan Jan teraz dopiero po raz pierwszy wspominał o sercu swoim. Dotąd spało ono spokojnie, pełniąc swoje funkcje fizjologiczne jak najregularniej przez sen. Pan Jan powiedział sobie, że się nie ożeni dopóki nie będzie mógł utrzymać żony z własnej pracy i dopóki niebędzie pewnym, że dzieciom swoim pozostawi po sobie choć coś na początek. Żeby się serce w nim nie przebudziło i nie wymogło na nim odstąpienia od tego postanowienia, starannie unikał zwracania uwagi na piękne twarzyczki, jakie

sposztrzegal przed sobą, wystrzegal się bywania na zabawach, mogacych nastreczyć okazję do znajomości z picią nadobną, oparł się chęć nauczenia się tańczyć, która mu przychodziła w ostatnich latach niepełnoletności, a nakoniec wynalazł sobie specjalny mechaniczny na swe uczucia hamulec.

Hamulec owym były zielone okulary, które pan Jan zaczął nosić od samego początku swojej urzędniczej kariery, i bez których nie wychodził nigdy za próg swego mieszkania. Barwa tych okularów była tak dobraną, że przez nie najpiękniejsza twarzyczka, jaką mógł zobaczyć, wydawała się tak chorobliwie bladą, iż nie mogło być obawy, aby jej widok mógł zelektryzować drżące serce pana Jana. Nie potrzebując bynajmniej tak starannie konserwować swoich oczu, miał bowiem wzrok doskonały, pan Jan nie byłby jednak za nie w świecie zdjął owych szkieł w obec kobiety przez przeciąg całych lat piętnastu, i w końcu tak się do nich przyzwyczaił że gdy nareszcie powiedział sobie, że już może się ożenić, o zdjęciu okularów zapomniiał.

Chwila, w której uznał że już przyszedł na niego czas ustalenia swego bytu i związania się matrymonjalnym węzłem z osobą, którą jego rozum i uczucie wybierze, a która ten wybór zaakceptuje, przypada jakoś na kilka tygodni przed dniem, w którym powaga pana Jana poniżyła się aż do kabałki dopiero przez nas opisaną.

— Zaczynam rok trzydziesty szósty, — powiedział sobie pan Jan, — nie jestem ani za stary ani za młody... mam cztery tysiące pensji... po ojcu odziedziczyłem kamienicę, która mi przynosi dwa razy tyle... rok i sześć niedziel żałoby po nim dziś się kończy właśnie... od dziś tedy mogę zacząć myśleć o ożenieniu się.

Przebiegł w myśli wszystkie partje, o których wiedział, ale nie zdecydował się na żadną.

— Moja żona musi mi się podobać, — rzekł w duchu, — a te wszystkie panny, które znam, są takie mdłe, takie blade...

W pierwszych latach noszenia okularów byłby sobie łatwo przypomniiał iż to było winą szkieł przez które patrzył, ale po piętnastu latach przyzwyczajenia zupełnie mu to wyszło z myśli.

— Inny na mojem miejscu, — mówił do siebie dalej, — mając dwanaście tysięcy dochodu, będąc człowiekiem w samym kwiecie wieku i przystojnym, jak to sobie przyznać mogę bez przechwałki, szukałby partji bogatej... marzyłby o krocicach, o milionie chociażby w trzeciej części lub w połowie, jeżeli nie w całości... lecz to jest przeciwne moim zasadom. Mężczyzna powinien być głową domu w całym znaczeniu tego wyrazu, a nie może być głową, jeśli jest tylko intendentem większej części wspólnego majątku. Zostawmy spekulacje na małżeństwo ludziom bez szeląga. Mąż odbierający od żony przysięgę posłuszeństwa, podczas gdy sam powinien być jej wdzięcznym za chleb powszedni, jest anomalją. Niech sobie panny Anomalje wychodzą za takich, ja nie chcę ani takiej co sobie kupuje męża, ani takiej co się sprzedaje mężowi. Z jedną i z drugą niełatwo o szczęście i o pokój domowy. Chcę żony, której pozycja i majątek byłyby odpowiednie mojemu stanowisku i dochodom...

Pan Jan nie był łatwym w wyborze. Stawiał swoje warunki tak co do położenia socialnego i stanu majątkowego, jak co do piękności swjej przyszłej. Warunki te były zawarte w granicach rozsądku i niejedna z mających jeszcze do rozporządzenia rękę i serce odpowiedzieć by im mogła, ale pan Jan nie zdejmował swych okularów i tym sposobem, choć miał może w kółku swoich znajomych osoby odpowiednie pod innemi względami, pod względem podobania się, żadna zadowolnić go nie mogła.

II.

W charakterze pana Jana leżało, że nie lubił z niczem odwlekać. Był energicznym we wszystkim co przedsiębrał dotychczas, kiedy więc postanowił się ożenić, powiedział sobie, że to postanowienie również energicznie doprowadzi do skutku. Energja jego była jednak tego rodzaju, iż nie wyła-

czała systematyczności wrodzonej i pewnego rodzaju pedanterji, której nabrał dążąc wytrwale przez lat piętnaście do zapewnienia sobie niezależnej i wygodnej pozycji w świecie, do czego mu dopiero w ostatniej chwili śmierć ojca, bynajmniej tak prędko nieprzewidywana, dopomogła. Zaczął więc i w sprawie ożenienia postępować systematycznie a nawet po pedancku.

Nie mogąc znaleźć osoby której szukał w kole swoich znajomości, zamierzył robić znajomości nowe, za pomocą kolegów z biura lub właścicieli sąsiednich domów. Zrobiwszy taką znajomość, nie dowierzał pierwszemu wrażeniu, które z powodu okularów zawsze było niekorzystne, zostawiał czas sercu swemu do obudzenia się i dopiero po przekonaniu się, że spało snem twardym, rozpoczynał nowe kroki.

Takim sposobem mógł iść do celu bardzo długo i ustać nareszcie znudzony, zdarzyło się jednak, że zaraz po drugim doświadczeniu w ten sposób zawodzie, przypadek mu się przysłużył zupełnie niespodziewanie.

Jeden z sąsiadów pana Jana, przeczuwając może jego matrymonjalne zamiary, lecz nie dając poznać po sobie że się ich domyśla, wprowadził go do domu jednego ze swych bliskich krewnych, podobnie właścicieli kamienicy.

W domu tym jak się łatwo domyśleć, była panna na wydaniu, jedynaczka.

— Córnica właściciela domu, — pomyślał pan Jan, wybornie... stanowisko i majątek zupełnie odpowiednie mojemu... ma lat, jak powiadają, dwadzieścia... i to doskonale, jeżeli tylko liczba podana jest sumiennie. Nie chcę być dwa razy starszym od mojej żony, nie chcę żeby wyglądała kiedyś na moją córkę, ale znów nie chcę takiej, którą już ludzie zaczęli nazywać starą panną.

Tu przysłała panu Janowi myśl, która go przeraziła nieco.

— O ile pamiętam, rzadko mi się zdarzyło słyszeć o pannie, żeby miała lat dwadzieścia... Panny w ogóle miewają po lat osiemnaście lub mniej, rzadko która dochodzi do dziewiętnastego roku przed zamążpójściem, żeby nie wiem jak długo czekała na męża. Jest w tem jakaś omyłka rachuba lat panieńskich nie koniecznie musi być zgodną z rachubą astronomiczną lub cywilną, a kiedy tak, to rok dwudziesty, rok który tak rzadko miewa miejsce, może znaczyć nie wiedzieć co. Ja który do tej chwili tak mało patrzyłem na kobiety, mógłbym popełnić fatalną omyłkę. Nim tam pójde trzeba się od niej zabezpieczyć.

Powziąwszy takie postanowienie pan Jan nie spoczął aż się zabezpieczył. Tegoż samego dnia jeszcze dotarł aż do ksiąg meldunkowych domu rodziców panny, co mu, jako właścicielowi kamienicy było jeszcze łatwiejszem jak wszystkim innym śmiertelnikom, i wyczytał datę urodzin panny Julji.

Panna Julja, według tego dokumentu niepodjętą autentyczności, miała rok dwudziesty na ukończeniu.

— Coraz lepiej, — rzekł do siebie pan Jan, — panna Julja liczy swe lata podług cywilnego stylu... dobry to znak. Pod względem majątkowym nie ma co się obawiać, z tej strony interesa muszą być tak samo czyste jak ze strony metrykalnej.

Mimo to jednak, pan Jan postanowił się zabezpieczyć i co do majątkowości. Chodziło mu o to, czy ojciec panny Julji jest rzeczywistym czy honorowym właścicielem kamienicy, gdyż w jego teorji właściciele na te dwie kategorje się dzielą. Właściciele rzeczywisci, jego zdaniem, są właścicielami nie tylko domu ale i dochodu, właściciele honorowi figurują wprawdzie w dziale pierwszym księgi hypotecnej, ale dochód w znacznej nieraz części, w całości prawie, oddawają są zmuszeni osobom zapisanym w dziale czwartym. Pan Jan był właścicielem rzeczywistym i chciał, żeby jego teść był takim samym, pragnienie to sformułował nawet w aforyzm, mogący uchodzić za przysłowie, i powtarzał je często, ale tylko na cztery oczy, to jest dwa swoje i dwa szklane swoich okularów srebrnych.

— Wolę rzeczywistość niż honor.

I w tym razie sprawdzenie wypadło najzupełniej na stronę panny Julji i jej rodziców. Ojciec jedy-naczki był rzeczywistym właścicielem swojej kamienicy.

— Kiedy tak, kość rzucona, przepływam Rubikon i palę za sobą okręty, jak Cezar.

Klasyczna wiedza pana Jana pozostawiała cokolwiek do życzenia, nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego jaka różnica zachodzi między Rubikonem a morzem, albo może Cezara brał za admirała floty rzymskiej. Bądź co bądź wzmianka o spaleniu okrętów była dodana tylko dla zaokrąglenia frazesu, pan Jan bynajmniej palić ich nie myślał. Owszem jego zdaniem rozsądek zależał na pozostawieniu sobie zawsze drogi do wycofania się z każdego interesu. Ze zdania: zwyciężyć lub zginąć w praktycznej swojej polityce zrobił aksjomat: gdzie zwyciężyć nie można tam zginąć nie warto, i tutaj też jak w dziedzinie hypoteki kładł rzeczywistość przed honorem.

Rzucił więc kość i przepłynął Rubikon. Poszedł z sąsiadem do domu rodziców panny Julji i w drodze powiedział sobie:

— Pójde, zobaczę i zwycięzę, a jeśli nie zwyciężę — wróce.

Przypuszczając porażkę, gdyż nie byłby człowiekiem poważnym, gdyby wszystkiego co się zdarzyć może nie przewidywał, pan Jan spodziewał się jednak zwycięstwa.

— W takim domu, — rozumował sobie, — gdzie wszystko takie czyste jak iza, gdzie nawet co do wieku panny i co do hypoteki kamienicy najmniejsza nie zachodzi wątpliwość, muszą dbać także, żeby z drugiej strony wszystko było w takim samym porządku. A gdzież to się znaleźć może jeśli nie u mnie?.. Na hipotece mojego zdrowia nie ciąży żadne grzechy młodości, z wiekiem moim taie się niepotrzebują, jestem pod tym względem w sam raz, aresztu na pensji nigdy nie miałem, na dom nie nigdy nie pożyczalem od nikogo... jest więc prawie niepodobnem, żebym tam spotkał odpowiedniejszego konkurenta. Przyjmą mnie z otwartymi rękami, zwłaszcza że co do warunków intercyzy nie będę trudnym. Dla mnie wszystko jedno czy gotówka czy procent, golcy tylko chcą bezwarunkowo gotówki... Mogłbym stawić dziesięć przeciw jednemu, że mi się uda.

Z takimi nadziejami przestępował próg domu rodziców panny Julji.

III.

Aż dotąd wszystko szło dobrze w działalności matrymonjalnej pana Jana, odtąd miało pójść jeszcze lepiej.

Wprowadzony na wszystko zwracał baczną uwagę i wszystko mu się spodobało. Urządzenie domu rodziców Julji było zupełnie odpowiedniem ich majątkowi. Nietylko przez zielone okulary ale nawet gołem okiem niepodobna było w niem dopatrzeć ani niepotrzebnej wystawy, graniczącej ze zbytkiem, ani owego kurczenia się od którego tylko krok do skąpstwa. Pan Jan był zwolennikiem zasady *in medio virtus*, nieprzyjaciel zbytku był zarówno nieprzyjacielem oszczędności do sknerstwa posuniętej, obu ostateczności jednakowo nienawidził, to więc co zobaczył zrobiło na nim bardzo dobre wrażenie.

W bawialnym pokoju zastał tylko ojca i matkę Julji. Oboje, jak to spostrzegł zaraz, byli ludźmi poważnymi, aż miło. Pan Anzelm skierował rozmowę na ekonomjã polityczną, której był zapalonym zwolennikiem, pani Anzelmowa potakiwała mężowi, jak na poważną małżonkę przystało, lecz potakiwała nie za pomocą zwykłych wyrażen „tak“ albo „masz słusznosc“, tylko parafrazując to co mąż powiedział. Dawało to dowód, że rozumiała kwestję i była biegłą w oddawaniu tej samej myśli innemi słowy, co znaczy, że jej pojęcia nie były przywiązane do wyrazów i wyrażen, jak to się przytrafia niektórym osobom, i że posiadała ten stopień umysłowego rozwoju, jaki pan Jan uważał za dostateczny, jeśli nie dla swjej przyszłej, to przynajmniej dla jej matki. Miała przytem pani Anzelmowa dosyć pamięci... i to co raz usłyszała w pogadankach ekonomicznych

z ust męża umiała potem wtrącać do rozmowy, gdy się jej trafiła okazja, ztąd poszło że między znajomymi paniami używała opinii erudytki i ekonomistki, jakkolwiek nie było przykładu, żeby ją kto widział nad książką.

Zamysłowanie pana Anzelma w ekonomji politycznej było zupełnie teoretyczne, o dawaniu kapitałom produkcyjnego obrotu lubił rozprawiać, nie zgodziłby się jednak za nic w świecie, gdyby mu radzono znaleźć dla swego kapitału jaką produkcyjniejszą, ale za to mniej niezawodną lokację jak własność kamienicy. W obrębie swęj nieruchomości stosował swoje zasady i poglądy ekonomiczne, i ile razy przyszło mu któremu ze swych lokatorów podwyższyć komorne, zawsze potrafił usprawiedliwić tę podwyżkę racją zaczerpniętą z jakiego bardzo sławnego w tej gałęzi wiedzy autora.

Pan Jan zbyt był ostrożnym, żeby miał zabierać nową znajomość z rodziną mającą pannę na wydaniu, bez wyszukania sobie jakiegoś pretekstu. Znajomość dla znajomości bardzo łatwo dałaby się domyśleć matrymonjalnych planów, z którymi zdradzić się zamierzył dopiero po wszechstronnem zbadaniu stanowiska i obliczeniu szans prawdopodobieństwa. Pozór, jaki sobie w tym celu znalazł, był odpowiednim jego godności jako właściciela domu. Pan Anzelm front swego domu malował farbą olejną, pan Jan więc chciał się od niego dowiedzieć, czy trwałość tego sposobu malowania wynagradza za połączone z nim większe koszta, ażeby mógł i u siebie zaprowadzić tę reformę.

Ztąd wywiązała się rozmowa. Pan Anzelm obstawiał przy malowaniu olejnem, popierał swoje twierdzenia cyframi, cyfry zdaniem ekonomistów dawnych i nowszych, a wyczerpawszy kwestję szczegółową przeszedł na pole ogólnych rozpraw, mówił o fizjokratkach i merkantylistach, o stronnikach wolnego handlu i partyzantach cła ochronnego, o kapitale i o pracy, o wartości zamienniej i czynszu gruntowym; słowem o wszystkim co mu na myśl przyszło, zostawiając nierozwiazanemi kwestje napoczęte i samego siebie zbijając z tropu.

Pan Jan słuchał, niekiedy wtrącając słówko na znak, że opinie pana Anzelma podzielał, a przykłady uważał za dobrane trafnie. Nici wiążącej całą rozprawę gospodarza uchwycić nie mógł, nie przypuszczał jednak żeby jej zupełnie nie było, sądził tylko, że nie dosyć zna naukę i dla tego dostrzedz jej nie potrafi.

Pani Anzelmowa doskonale wtórowała mężowi.

— Ja bo powiadam, — prawil pan Anzelm, — że przymnażanie osobistego majątku jest obowiązkiem każdego. Niech wszyscy spełnią ten obowiązek, a będzie dobrze w kraju. Że to jest obowiązkiem już o tem Kato powiada...

— Który Kato? — przerwała pani Anzelmowa, — bo przecież dwóch Katonów jest sławnych...

Pani Anzelmowa przed kilku dniami dowiedziała się od małżonka o dwóch Katonach i skorzystała ze sposobności zaprodukowania tego uczonego nabytku.

— Kato Cenzor powiada, — objaśnił pan Anzelm i chciał dalej prowadzić wykład, lecz pani Anzelmowa przerwała mu raz jeszcze.

— Kato Cenzor... a! to pradiadek tego co się zabił w Utyce...

— Ten sam, moja duszko... on tedy mówi, że wdowie może się zdarzyć, że się zmniejszy jej majątek, ale mężczyzna obowiązany jest więcej pozostawić niż odziedziczyć.

— Zasada godna Katona, — zauważył pan Jan, — marnotrawstwo jest objawem największego zepsucia obyczajów...

— Masz pan słusność, panie, — ciągnął dalej pan Anzelm, — marnotrawstwo, chociaż chwilowo podnosi stopę procentu i cenę niektórych towarów, przecież ostatecznie rujnuje kraj. Tylko sofisci polityczni mogą zachęcać do zbytku. Mojem zdaniem jest to niezbitą prawdą, że kto kupuje co mu niepotrzebne, będzie musiał sprzedawać to co mu potrzebne.

— A wiesz pan kto to powiedział? — zwróciła się pani Anzelmowa już wprost do pana Jana.

— Nie przypominam sobie pani.

— Franklin, panie, Franklin, ten co wynalazł konduktory... bo było dwóch Franklinów sławnych, drugi zginął bez wieści w wyprawie na odkrycie bieguna północnego.

Rozmowa ta, jakkolwiek budująca i nauczająca stawała się cokolwiek przydługą dla pana Jana, który sobie nigdy za bardzo głowy nad ekonomją polityczną nie łamał. Bądź co bądź jednak nie miał jej za złe panu Anzelmowi, jako człowiekowi, którego włosy już dobrze przypruszyła siwizna. Zdaniem pana Jana ludzie w wieku, mieli przywilej być nudnemi dla młodych, czego im jednak nikt za złe brać nie miał prawa. Nie wiedział tylko co robić z sobą, gdyż mu trudno było zdobyć się na coś więcej jak na potakiwania, a potakując monosylabami bał się źle zaprezentować swemu przyszłemu teściowi.

Położenie pana Jana stało się jeszcze przykrejszem, gdy pan Anzelm popuściwszy cugle swemu ekonomicznemu zapłowi, znów poszedł dalej i od rozmowy o marnotrawstwie i oszczędności zapuścił się w tak głębokie tajnie nauki, zaczął przywozić tak sprzeczne z sobą zdania rozmaitych pisarzy, że pan Jan już nie wiedział czemu potakiwać, a czemu przeczyć wypadało.

W tym kłopotcie machinalnie ręka jego szukała jakiegoś zajęcia. Już sięgnął do kieszonki od kamizelki po piórka od zębów, już je miał ponieść do ust, ale spostrzegł się nagle, iż wykluwanie zębów możeby nie było bardzo stosowną i przyzwoitą czynnością w domu w którym się znajdował. Cofnął więc szybko rękę, lecz nie mając czasu zastanowić się nad tem co robi, nie poniósł jej napowrót do kieszonki od kamizelki tylko do tylnej kieszeni fraku. Tam schował piórko i również machinalnie wyciągnął chustkę od nosa.

Pan Anzelm rozprawił ciągle, a pan Jan trzymał chustkę w ręku i medytował.

— Po co ja tę chustkę wyjąłem?...

Zdawało mu się, że kto wyjął chustkę z kieszeni już jest obowiązany użyć jej do czegoś. Zagłuszony Bastiatem, Millem, Sayem i innemi ekonomistami nie mógł wpaść na myśl, żeby ją schować napowrót kiedy mu była niepotrzebna. Machinalnie pod wpływem ekonomji politycznej, szukał celu, do którego mógłby jej użyć produkcyjnie. Mimowoli podniósł rękę do czoła, trącił palcem o okulary, i spadł mu ciężar z serca.

— A! znalazłem, — pomyślał.

Gdyby go się kto w tej chwili spytał co znalazł, zapewne nie potrafiłby odpowiedzieć, ręka jednak wiedziała co znalazła, zdjęła okulary z nosa i przybliżyła je do chustki. Wtedy pan Jan zaczął bardzo starannie czyścić szkła, które tego nie potrzebowały bynajmniej.

Czyścił je pilnie, czyścił długo, zdawało się, że czyszczeniu nie będzie końca, tak jak rozprawie pana Anzelma.

W tej chwili weszła do pokoju panna Julja.

Pan Jan powstał, okulary upadły na dywan, ale nie zwrócił na to uwagi. Nic im się stać nie musiało bo nie brzękły.

Bohater nasz stał się cały wzrokiem, miał przed sobą istotę zupełnie różną, nieskończenie piękniejszą od wszystkich jakie widział do tej chwili. Z jej twarzy uderzało życie w całej pełni młodości gdy inne były blade, mdłe, przygasłe. Z jej oczu tryaskał ogień, gdy inne miały tylko jakiś rodzaj przyćmionego połysku. Każdy rys twarzy ułożonej do miłego uśmiechu był piękniejszym i przyjemniejszym, wyrazistszym od tych jakie dotąd widywał...

Było to skutkiem zdjęcia okularów, lecz pan Jan nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Jakaż ona prześliczna! — mówił do siebie w duchu, gdy go przedstawiano.

(d. c. n.)

Wspomnienie.

Pamiętam, pamiętam w tem miejscu przed laty,
Na wzgórzu, cokolwiek wzniesiony,
Pomiędzy wiejskimi słomianymi chaty,
Stał kiedyś dwór stary, zgarbiony.

Nie wiele się różnił od wiejskiej zagrody,
Dach kryty gontami szaremi,
Lecz z niego zielone gron dzikich jagody
Po ścianach spływały do ziemi.

Okienka nie duże, świeciły do środka
A na nich wazonki z różami,
I mirty zielone — i biała stokrotka
I kaktus z ostremi kolcami.

Przed dworem, topole dziedziniec w pół dzielą
Jak stróż wiejskiego spokoju,
Za niemi przy ganku, jaśminy się białą,
Jak dziewczę w weselnym ustroju.

A z hoku przy oknach ogródek panienek...
Czy widzisz tam w wieńcu zieleni,
Jak świecą się rąbki liliowych sukienek
I dzwoni śmiech pusty za niemi?

A potem — czy widzisz? — tam z głową schyloną
Wszedł ojciec: włos spadł mu na czoło...
Uśmiechem powitał ogrodniczek grono,
Zarcikiem im rzucił w około.

I przy nim — to matka — z oczyma ciemnymi,
Z anielskim wyrazem boleści,
Całunkiem serdecznym, słowami słodkimi
Objęła dziewczynę — i pieści....

Tak cicho, spokojnie... szczęśliwi tu oni,
Zdaleka dźwięk dzwonów dobiega,
Od pola — gwar ludu z piosenką się goni,
Pastusza fujarka rozlega.

Tak byli szczęśliwi... a dzisiaj — gdzie oni?...
Gdzie ciche podwórko wieśniacze?
Ach... tylko dźwięk dzwonów tak samo dziś dzwoni,
Pacierzem umarłych wciąż płacze.

Gdzie dworek, gdzie kwiaty, gdzie dawne szczebiotki?
Ach wszystko inaczej się plecie,
W ogródku — zdeptane lilje i stokrotki,
Dziewczyny tulaczki po świecie.

I tylko na ziemi — mogiła gdzieś świeci,
I świeci ubita doń droga,
A szczęście w mogile, na świecie dla dzieci
Nic niema prócz wspomnień i Boga!..

N. W.

PRZYCZYNKI

DO HISTORJI LITERATURY POWSZECHNEJ.

Sandor Petoefi

Poeta Węgier-ki.

(Dalszy ciąg).

Sandor Petoefi urodził się z biednej familii, 1-go Stycznia 1823 r. w Felegyaza, w Małej Kumanii, ojciec jego był rzeźnikiem. Tęgi ten człowiek, chociaż skutkiem nieszczęśliwych okoliczności prawie do nędzy został doprowadzonym, dał jednak synowi bardzo staranne wychowanie. Był on protestantem a protestanci w Węgrzech, stanowią jakby chrześcijańską gminę, w której biedny jest przynajmniej tego pewny że dostanie naukę darmo: a to nie mała rzecz!

Młody Petoefi rozpoczął nauki w gimnazjum ewangelickim w Waszod, potem w Szentlörincz a na ostatku w Szemniczy. Od młodości był żywy jak iskra, przepisy szkolne nie przypadały wcale do tego nieunoszonego umysłu. Pewnego dnia student nasz, zniecierpliwiony regulaminem szkolnym a żądny swobody, przeskoczył przez mury kollegium i poszedł

w świat, bez celu stale wytkniętego. Słyszał on nie raz jak mówili ludzie o wielkiem mieście, zwanem Peszt, a w którym można było widzieć wiele pięknych rzeczy; owóz młody włóczęga skierował się ku stolicy Węgier.

Czyliż nie zdaje się wam że to jest jaki ustęp z *Wilhelma Majstra* Götého? Zbieg z Szemnickiego liceum ma zaledwie dwanaście lat, a już rozmiłował się na zabój w teatrze, jak ów bohater niemiecki. Widział on ciągle w marzeniach swoich podnoszącą się kurtynę a na scenie mnóstwo świetnie ubranych osób, przedstawiających najcudowniejsze wypadki. Przybywszy do Pesztu i wydawszy ostatni grosz, poszedł prosto do dyrektora teatru i ofiarował mu swoje usługi. Z góry na wszystko przystawał: „będzie grał role dziecięce, albo będzie pomagał reżyserowi i maszyniście, będzie nosił stoły i krzesła na scenę, będzie stał za kulisami, gotowy na wszystkie rozkazy aby tylko widział wszystko i nauczył się rzemiosła komedjanta“ tak sam pisze o sobie. Przyjęto go i owóz przyszedł poeta narodowy został praktykantem w teatrze. Szczęście to jego nie długo trwało. Ojciec dowiedziawszy się o wyprawie swojego syna, ruszył w ślad za nim i wkrótce dognał zbiega w Peszcie. Zsiadłszy ze swojego jednokonnego wózka, poszedł prosto do teatru, uchwycił małego Aleksandra za uszy i zabrał z sobą na wieś.

Matka płakała bardzo kiedy ujrziała powracającego swojego syna takim sposobem, a jednak powiadają, że w'pośród łez żalonych wyborna ta kobieta czuła tajemną dumę, widząc w swoim dziecku ten zapal tak wczesny, bo wyobrażała sobie że to jest przepowiednia jakiejś wielkiej i zaszczytnej przyszłości. Serce matki zgadło! Ojciec zupełnie co innego miał w głowie; chciał wykierować swojego syna na takiego samego jak on wieśniaka, bo zaczął nie ufać szkołom, które nie umiały pohamować rzutkości chłopca. Co większa, nieprzeparatą chętkę Aleksandra do składania piosnek, cały jego nastrój zapalny, który w matce tak wielkie nadzieje rozbudził, wydawały się ojcu tylko pozorem do włóczęgostwa. Żeby ukarać buntowniczego studenta zatrzymał go przy sobie przez trzy lata, ale przekonawszy się w końcu, że uprawa roli i całe wiejskie gospodarstwo jest najzupełniej przeciwnie charakterowi i popędom Aleksandra, postanowił oddać go znowu do liceum. Petoefi miał w Oedemburgu jakiegoś krewnego, tam Sandora zawiózł ojciec i oddał pod surowy nadzór pana ławnika. Roku 1839 zamknięto go znowu w murach szkolnych i niecierpliwa troska obsiadła jego duszę, bo po za sobą zostawił najzupełniejszą swobodę, obszerne, nieprzejrzane okiem stopy od Cissy do Dunaju, i ulubionego konia, na którym hulał po niezmiernych płaszczyczynach. Miał już 16 lat, życie wręcz już w nim poczynało, gdzie mu tam było myśleć o książce i o ławce szkolnej. To też przybywszy do Oedemburga zamiast udać się do swoich krewnych, poszedł prosto do koszar i zaciągnął się do pułku huzarów. Służył dwa lata — dwa lata cierpienia i nudów; gdyby nie rozkoszne piosnek byłby pewnie uciekł z pułku tak samo jak z liceum. Spiewał on już wtedy wszystkie swoje wrażenia umysłu i serca. Mnóstwo pieśni, które później zostały wydrukowanemi i stały się najzupełniej ludowemi, ułożył w czasie tej aplikacji do stanu żołnierskiego, rzeczywiście bazgrał je węglem po ścianach kordegardy.

Mając lat 18 porzucił służbę wojskową a raczej usunięty z niej został z powodu słabego zdrowia. Owóz pędził życie niespokojne i włóczęgowskie, pełne biedy, wesołości i zawodów znoszonych z przedziwnem niedbaniem o nic. Wreszcie urzeczywistnił marzenie swojej młodości i z trupą koczujących aktorów, chodząc od miasta do miasta grając utworzy Szekspira lub próby dramatyczne Karola Kisfaludy. Tym sposobem w roku 1842 przebiegł całe prawie Węgry a towarzysze jego i widzowie utrzymywali, że był najgorszym aktorem, chociaż był tak zapalonym miłośnikiem sztuki dramatycznej. W tym samym czasie pisał różne wiersze i drukował je w rozmaitych zbiorach literackich; zaczął żyć z pióra bo różni dziennikarze wyciągali już do niego ręce i płacili mu nieźle.

Jeden z zacniejszych literatów Ignacy Nagy, który wydawał zbiór romansów tłómaczonych z obcych języków, wezwał go do siebie do różnych przekładów. Zaledwie upłynęło siedm miesięcy pobytu Petoefiego w Peszcie, już mu się przykrzyć zaczęło; nie przeparatą żądza swobody i teatru wyrwała go z pośrodku nowych przyjaciół. Poszedł prosto do Debreczyna chory, nędzny, obdarty jak ostatni cygan.

Ale i dla niego miały nastać szczęśliwsze czasy. Kiedy widzowie gwizdali na śmiesznego aktora, w tym samym czasie pieśni poety rozlewały się z jednego końca Węgier na drugi. Petoefi zrozumiał wreszcie swoje przeznaczenie. Widząc że jego wiersze coraz większego nabierały rozgłosu, przyznał się że był ich autorem, zrzucił przybrane nazwisko, którem się dotąd zastaniał i wrócił do Pesztu, gdzie zupełnie poświęcił się poezji. W tej to epoce to jest 1844 roku oddał ową wizytę świetnemu pisarzowi Michałowi Vörösmarty, który go ogłosił za mistrza i za najpierwszego węgierskiego poetę. Inny znowu pisarz, zacny starzec, poświęcony na usługi nauk i poczynających pisarzy, Paweł Szemere, równie troskliwie opiekował się młodym poetą. Towarzystwo polityczne i literackie, tak nazwane *Koło Narodowe*, na wniosek Vörösmartego, wyznaczyło Petoefiemu uroczystą nagrodę; jemu który wczoraj jeszcze nie wiedział co wart, co był wygwizdany w brudnych teatrach na brudnych deskach; i nie miał przytulku i chleba. Dziś od razu staje się uwieczonym poetą a zgromadzenie narodowe drukuje własnym kosztem jego pieśni.

Pierwszy ten zbiór, noszący bardzo prosty tytuł: *Poezje Sandora Petoefi*, wyszedł w Budzie (Offen) 1844 roku. Treść tych pieśni odnosi się do upłynionych ostatnich trzech lat życia poety. Wszystkie wzruszenia jakie uczuł podczas tulającego się żywota; wszystkie wykrzyki radości lub żalu; wszystkie młodzięcze uniesienia przeplatane smętną jakąś rzewnością, owe biegania po całym kraju, długie marzenia w szynkowniach; cułacko-śmieszne lub złośliwe uwagi o ludziach i o świecie — wszystko wypowiedział w swych pieśniach młody poeta. Oczywiście nie ma tam jeszcze silnego polotu lirycznego ani bohaterkiego, a jednak cygańskie te obrazy ogromnie się polobały? Dla czego ten awanturnik, zbieg, komedjant wygwizdany, przyjętym został przez wszystkich i ogłoszonym za narodowego poetę? Oto dla tego, że w każdej kropelce krwi jest Węgrem, po węgiersku pisze a nadto językiem prostym, męzkim, brzmiałym jakim go dotąd nigdy jeszcze węgierskie uszy nie słyszały. Nie ma w tych pismach nic umówionego, nic manierowanego, nic pedancko-uczonego, nie na zimno ukutego, jak to często widać u jego poprzedników. Prowadzony jakimś natchnionym instynktem, Petoefi odgrzebał zatracone tony dawniej poezji węgierskiej. Czy to opiewał swoje miłostki, czy wychwalał węgierskie wino, zawsze siła poetyczna i mękość wyrażenia podnosiła oba te przedmioty do wysokości piękna. Jedno spojrzenie kobiety rozbudza w nim siłę marzeń i namiętnych porywów; to znowu zły duch szynkowni ogniem zapala mu mózg, nigdy jednak nie da się unieść nieszlachetnym popędem ani gorączkowym szałem, czuje zawsze gwałtownie ale zawsze jest przytomnym.

Niech sobie śpiewa te dzikie pieśni, raz wesołe bez żadnej chmurki, to znowu pełne kłopotów, trosk i gorczy pierwszej miłości! Przyjdzie dzień kiedy równie żywo wypowiadać wam będzie szczęście domowego ogniska, rozkosze miłości i uniesienie nad kolebką swego dziecięcia.

Pieśni Petoefiego w tym pierwszym zbiorze zawarte pełne są szalonej prawie wesołości. W jednym miejscu np. woła:

„Deszcz pada, deszcz, deszcz pocałunków! a w pośrodku tego deszczu jakie śliczne błyskawice!

To twoje oczy moja najdroższa tak świecą w ciemności! Deszcz, błyskawice to nie wszystko jeszcze! Oto burza się podnosi i wyje straszliwie. Bądź zdrowa moja gołąbko trzeba uciekać, słyszę głos twojego ojca.“

W drugim miejscu odzywa się do swojego konia:

„No Lumli (nazwisko konia) musimy prędko lecieć, o bardzo prędko, bo dziś jeszcze muszę być przy mojej kochance. Dopiero stoję przy tobie a duszą już wyleciałem daleko stąd. Patrz na tego ptaka który leci nad naszymi głowami, mija nas, o już minął! Ah! patrz jak on daleko bo i on też spieszy do swojej towarzyski. Dalej mój drogi, leć co sił po ziemi i prześcignij go, bo i on nie więcej odemnie kocha swoją kochankę.“

Pomimo jednak szalonego biegu konia, zdaje się że Petoefi nie rychło przybył, bo słuchajcie co śpiewa trochę dalej:

„Po ulicach wszędzie muzyka i śpiewy; w jednej ręce trzymam pełną butelkę, w ustach mam śpiew i tańczę jak szalony dzikiego czardasa.“

„Ej! ty cyganie, graj mi na smutną nutę: niech wypłaczę wszystkie łzy moje! Ale kiedy będziemy tam pod tem małym okienkiem, to graj wesołą nutę.“

„Bo tam mieszka moja gwiazda, gwiazda co mi świeci wysoko i daleko, ale gwiazda ta kryje się przedemną a innym się pokazuje.“

„Patrz cyganie o to jej okno. Graj natychmiast co umiesz najweselszego. Niech się nie dowie nigdy wiarołomna, ile ja przez nią cierpię!“

(d. c. n.)

Korespondencja z Wiednia.

Zabierając się do przygotowania niniejszego listu mimowoli przyszedł mi do myśli Paryż, to niewyczerpane źródło tysiąca korespondencji, które rozbiegając się po całym świecie, wędrują nawet za morza i oceany, aby przez szpalty dzienników i tygodników pójść na strawę ludzkiej ciekawości. Jest to więc monopol dobrowolnie przyjęty: z Paryża bierzemy wszystko co piękne i nowe, zarówno wzory staników na suknie jak naukowe zdobycze którym akademja przyklasnęła: zarówno koki i szyniony jak dramata i powieści. Co w Paryżu dozna rozgłosu zaraz nabywa europejskiej sławy: co Paryż zgani gani świat cały, do kogo Paryż pochlebnie się uśmiechnie, temu inne stolice Europy biją czołem ukłony, słowem Paryż to wszechwładny szafarz mody, nauki, teorji, sławy, powodzenia i oklasków. Nie wdając się w wyjaśnienie powodów, stawiających Paryż na tym piedestale pierwszeństwa, muszę się jednak ująć za innymi stolicami Europy szczególniej za Wiedniem.

Ma on znaczną liczbę towarzystw naukowych, różnych instytucji, gabinetów, bibliotek: ma wielu uczonych pracujących z poświęceniem we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej: ma teatru pierwszorzędnej wartości, artystów, pamiątki historyczne, zbiory rzadkich ciekawości; przytem jest punktem środkowym handlu ze wschodem i głównem ogniskiem przemysłu rękodzielniczego całego państwa. Ma zatem dosyć materiałów dla dziennikarskich korespondencji, czyż więc nie mogłyby się one wcisnąć do kolum waszego Tygodnika?

Od lat kilku stale zamieszkały w Wiedniu, lubię go szczególniej za mieszkańców składających ludność tego stroszytnego grodu, najdawniejszego ze wszystkich miast niemieckich, który powstałszy z obozu rzymskiego, zostawał aż do piątego wieku w posiadaniu wszechwładnej Romy. Ludność ta, powstała z pomieszania się rasy słowiańskiej z germańską a chociaż pierwiastek germański jako miejscowy i cywilizacyjny wziął górę, uległ jednak wpływowi słowiańskiego geniuszu, zabrał wszystko co w nim znalazł dobrego a pozbył się z własnej istoty, co w niej było złe, wstrętne i samolebne. To pomieszanie się dwóch narodowości, najjaśniej przedstawia się w rodowych nazwiskach mieszkańców. Trzy czwarte sztyldów wywieszonych na ścianie frontowej kamienic, mieszczą nazwiska same słowiańskie, a zaledwie jedną czwartą czysto niemieckiego pochodzenia. Wiedeńczyk też jak Słowianin lubi wesołość i zabawę, ale jak Niemiec nie zapomina o pracy oddając jej

zawsze pierwszeństwo: lubi bale, przechadzki, wycieczki za miasto, ale zbytnią do nich pochopność miarkuje sytematycznością. Skrzętny o przysporzanie mienia, pieniądz nie zrobił jednak bożyszczem pomiatającym wszystkim co procentu nie przynosi. Ubiega się za nim, ale z pomiarkowaniem i odrzucając wszystkie drogi nagłego z bogacenia się, przekłada powolną a ciągłą pracę, pewny że przy jej pomocy na mniej zawodów narażony dojdzie do tego, za czem świat cały pędzi na złamanie karku. Z tą to dla szarlatanów, świętoszków kłamanym, wyżytkowaczem, pola tu żadnego nie ma do popisu. Wiedeńczyk przysłucha się ich obietnicom, przypatrzy, pokiwa głową i pójdzie do swego zajęcia. Ta niewiara, ociąganie się w przyjmowaniu nowości, to uporczywe obstawanie przy systemacie raz obranym, nadaje im cechę jakby konserwatyzmu i lekkomyślności, ale to tylko pozór. Wiedeńczyk jest rzeczywiście konserwatystą, ale w dobrem i rozumem, nowości nie odrzuca, ale nim ją przyjmie wprzód dobrze się namyśli, przypatrzy, osądzi i dopiero według wyrobionego sądu postępuje. Jest także i lekkomyślnym, ale nie do tego stopnia żeby sobie szkodę przynosił. Życie go cieszy i zachwyca, radby go przepędzać jak najwygodniej i najweseliej ale nigdy nie zapomina że się nie kończy z dniem dzisiejszym, że każdy dzień ma swoje potrzeby i że życie ziemskie nie jest jedynym celem i przeznaczeniem człowieka. Bawi się więc ale bez wyczerpywania uciech aż do dna, pracuje zawzięcie, ale pragnie i z pracy swój korzystać, myśli o starych latach, ale nie pomija terażniejszością, słowem korzysta z życia w każdej chwili ale ma na pamięci że się ono kończy, po którym następuje tajemnicza wieczność.

W cudownym tem zlianiu dwóch pierwiastków germańskiego i słowiańskiego, w przymiotach stanowiących ich chlubę, Wiedeńczyk bliżej poznany musi uzyskać serce każdego, i dla tego dobroduszość jego i serdeczność prawie przysłowiem się stała. Wprawdzie zawistni lub niechętni cechom tym więcej ujemną dają nazwę, nazywając poprostu głupstwem i niedołężnością, ale to tylko wynik przewagi materialnej nad wszystkim co z niej nie wypływa. Mogę was zaręczyć, że Wiedeńczyk są daleko mędrsi od owych krzykaczy i szermierzy postępowych idei, a stokroć od nich lepsi. Ten rozum, praktyczność życia, najjaśniej widnieje w ich prywatnym życiu.

Przyjmując chętnie stanowisko jakie zajmuje, nigdy nie pnie się do sfery do której nie należy. Zbogacony nie zapomina nigdy swego pierwotnego ubóstwa, używa przyjemności przez pieniądz dostarczanych, ale nie porzuca kółka z którym zrosił się i utworzył jakby jedną całość. Nie jest to własnowolne poniżanie się, arystokracji bowiem Wiedeńczyk nie uważają tak jak w Anglii, za wyższy stopień uszlachetnionej natury ludzkiej, ale tylko za dziedziców imienia i rodu, mających swoje nałogi, przyzwyczajenia, upodobania, różne od tych jakie wytwarzają się w klasie pracą osobistą zdobywającą wszystko. Nie pną się więc do niej, bo czują że to nie ich żywioł, że wśród niego byłoby im za ciasno, za sztywno, z zupełnym brakiem swobody, której tak gorącą pragną. Nie wszyscy jednak tą rozsądną powodują się zasadą; bogactwo wielu odurza i otumanionych pędzi w miejsca do których nie mieli czasu przywyknąć. Spotyka też ich wszędzie bezlitośna sztywność i to najpierw od dawnych przyjaciół i własnych krewniaków, nie z zazdrości broń Boże! ale wprost z zawodu, że mając ich za ludzi rozsądnych tak straszliwie się na ich rozumie omyli.

Do najprzyjemniejszych rozrywek Wiedeńczyków należą majówki i późniejsze wycieczki po za mury miejskie. W tym roku maj w początku nie dopisał. Wichry północne, nawet przymrozki mroziły wszystko, lecz nie wyziębily w Wiedeńczykach chętki do tak ulubionych przez nich majówek. W ciepłych przeto paletotach, poodziewani szalami, niektórzy nawet w futerkach, wyruszali na majową wycieczkę, a choć więcej naszczekali się zębami jak użyli wiosennych rozkoszy, tradycyjnemu jednak zwyczajowi zadość się stało. Z nastaniem ciepła od

połowy maja, wycieczki zamiejskie stały się więcej ogólnymi: wyruszyły więc powozy, karety, omaibusy, dorożki. Jedni peregrynowali pieszo, drudzy konno, ci z koszykami, wózkami, węzełkami, tamci z cygarami tylko w ustach a z ewanycygerami w kieszeni, pomiędzy zaś niemi liczne zastępy welocypedystów czyli szybkochołów albo pędziwiatrów, gnało na mechanicznych rumakach, wymijając zręcznie poważnie sunące się powozy. Nowa ta jazda jako nowość ma w Wiedeńczykach dosyć zawziętych przeciwników, ale przypatrują się jej uważnie a oceniając szybkość, chwala ją jako gimnastyczne ćwiczenie.

Mówią też o mającym się zawiązać stowarzyszeniu szybkochołów, mającym na celu jak największe ich upowszechnienie. Nie wchodząc kto mu da początek, czy czysta spekulacja, czy chęć wprowadzenia w ogólne użycie użytecznego wynalazku, welocypedy czeka świetna przyszłość. Wprawa bowiem powodowania niemi łatwa: jazda dosyć wygodna, zmęczenie umiarkowane a szybkość szalona równająca się prawie biegowi lokomotywy. Co do niebezpieczeństwa, to gdzież go nie ma? Czyż ludzie nie giną zarówno na drogach żelaznych jak w konnej jeździe lub powozami. W szybkim biegu szybkochołu, upadek może być bolesny a nawet i niebezpieczny, ale szybkość ta w każdej niemal chwili może być zmniejszoną.

Nie wszyscy jednak mogą oddychać świeżem zamiejskiem powietrzem, i więcej oddani całotygodniowej pracy ograniczają się na przechadzce po Praterze, ogrodzie pełnym drzew i zieloności położonym na wyspie oblaniej ze wszystkich stron mętnymi wodami Dunaju. Podobnej miejscowości żadne niemieckie nie posiada miasto, a jaki tam panuje ruch, życie, wesołość, jaka wrzawa pełna naturalnej radości, tego niepodobna opisać. Prater jednak nie jest nawiedzany przez samą tylko klasę uboższą: jedzie tam i najpierwsza arystokracja, z tego powodu koncentruje się tu życie całego Wiednia, i Prater należy do miejscowości modnych, ściągających nawet do siebie okolicznych wiejskich mieszkańców dla zabawy i przechadzki.

Za dni kilka ma być w nim otwarty nowy teatr opery, co mu nada jeszcze większe życie i znaczenie.

Ed. Si...

Pogadanka.

Okres koncertów zimowych zdaje się że już bezpowrotnie zamknął p. Pistor z córką swoją, którzy idąc za chwalebny przykładem swoich poprzedników, ceny wejścia na ruble i półtora-ruble oznaczyli. Temu szczeremu oszacowaniu popisu instrumentu obdarzonemu nie bardzo szczerze w harmonijne efekta, nie dziwię się wcale. Pierwszorzędność choćby na cymbałkach godna zawsze uznania, p. Pistor zaś z córką grą swą na harfach należą do pierwszorzędnych artystów: gdy więc koledzy przepieprzali i przesalali ceny biletów, dla czegożby i oni w podwójnym występującym komplecie, nie mieli jej choć przesolic?

W Niemczech zapewne cieszyliby się złotówką, u nas brali ruble, dziwna rzecz że nie imperjały.

Ktoś jednak mógłby zrobić zarzut, że złej sprawy bronie, że publiczność uczęszczaniem licznym na niektóre przynajmniej koncerty, zbija czynem wszelkie w kwestji tej przytaczane dowodzenia.

Zarzut podobny nie miałby słuszności. W publiczności bywającej na koncertach, mała częśćka należy do tyle zamożnych, że wydatek kilku lub kilkunastu rubli jest dla nich fraszką nie wiele znaczącą: druga częśćka bywa z próżności, dla pokazania się że może szastać rublami nawet z podwójnym dodatkiem: trzecia mniejsza składa się z zapalonych hołdowników nie tyle muzyki jak ciekawości, na zaspokojenie której gotowi się rzucić do najheroicznej oszczędności, aby tylko być, widzieć i słyszeć to, co rzadko może być widzianem i słyszanem. Czwarta wreszcie najliczniejsza, jest poprostu zwerbowaną i złapaną jak ryba na wędkę. Kiedy jaki artysta koncertowy,

postanowi uszczęśliwić Warszawę publicznem wystąpieniem, wówczas stara się przedewszystkiem wejść w towarzystwa jak najbogatsze i zyskać przyjazne jego dla siebie usposobienie. Biega więc, kłania się, wciska, uśmiecha, a gdy zdobędzie uznanie i życzliwość, występuje naturalnie z projektem koncertu i z prośbą o poparcie. Bogaci opiekuni troszkę przez rzeczywiste zamiłowanie muzyki, a troszkę przez próżność, chętnie podejmują się tego orędownictwa, biorą więc bilety do rozprzedania, czyli do wypychania ich w ręce bliżej znajomych, szczególnież też takich co możność należenia do ich grona, uważają za szczególny honor o jakim nikt jeszcze nawet nie marzył. Dla szybszego działania, rozprzedaż biletów powierzają nadto więcej zaufanym, ci naturalnie rozbiegają się po całej Warszawie i ni z tą ni z ową, marząc o oszczędnościach, drożyznach i ciężkich czasach, uderza cię grom artystyczny w postaci koncertowego biletu, któremu zmuszony uledez, wydobywasz choćby ostatniego rubla i składasz go z uśmiechem na ołtarzu poświęcenia dla sztuki. W ubiegłym okresie koncertowym manewrom podobnym dosyć się napatrzyłem.

— Słyszałem że pan wielki amator muzyki— rzekł raz do mnie jakiś młody człowiek, zatapiając przenikliwe spojrzenie w okrągłe moje policzki.

— A któżby jej nie lubił? — odrzekłem.

— Prawda, ale jakże u nas mało muzyka rozwinięta...

— Tak jak wszystko.

— Przepraszam, gastronomję należy wyłączyć z tego potępienia.

— Nie koniecznie, bo nawet i składy delikatesów i śniadań wytwornych bankrutują.

— A artyzm najbardziej i ta biedna literatura.

— Strasznie wychudła.

— Pewno zamrze na konsumpcję.

— Nie daj Boże.

— Brak dobrej woli do ofiary i poparcia, głównym tego powodem...

— Zapewne, zapewne — mruknąłem uszczęśliwiony, że aż pokręciłem węża z prawej i lewej strony.

— A jakież to zbiwienny wpływ sztuki na umoralnienie narodu.

— Niewysławiony, cudowny, zdumiewający! — zawołałem z uniesieniem.

— A jednak marnotrawni w wielu razach, dla sztuki skąpimy nieraz rubla...

— Barbarzyństwo! mruknąłem.

— Mogę więc panu dobr. służyć bilecikiem na koncert pana ***.

— Hm! — mruknąłem powtórnie— a wiele kosztuje?

— Dwa ruble.

— To nie wezmę.

— A to dla czego?

— Bo za drogi...

— Ależ sztuka panie wołająca poparcia...

— Taką zbytnie nie popiera się ale wygania na bory i lasy!

W innym miejscu, bilety wprost zastaję leżące na stole w bawialni, a jak tylko na nie spojrzysz, a broń Boże dotkniesz lub zapytasz, jużes półknął haczyk. Nie nie pomoże wdychanie, podnoszenie ramion, musisz sięgnąć do sakiewki. Pomijam inne środki i środeczki, owe na prędece urządzania loterii, napadanie na podżytych kawalerów szczególnież zamożniejszych i uznanych przez opinię za pieniężnych, i pytam się po co to wszystko, kiedy znaczną obniżenie ceny, kwestją powodzeń koncertowych od razu by rozwiązało?

W Paryżu, w Londynie ceny te rzeczywiście są wysokie, ale tam obszerność salonów koncertowych w stosunku do liczby osób zamożniejszych są za szczupłe, artysta więc ustalonej sławy rachuje jedynie na bogatszych, pewny ich licznego zawsze zgromadzenia się i dla tego oznacza cenę odpowiednią ich zasobów. Salon bowiem zawsze będzie pełny, woli więc brać dukaty i szterlingi jak franki i szilingi. U nas prawdziwie bogatych mała nader liczba, ale mogących poświęcić złotówkę dla zabawy muzycznej bez zrujnowania swego budżetu mnóstwo; koncertanci więc na nich powinni oprzeć swoje wi-

doki a nie zawiodą się nigdy. Dowodem tego Szwajcarska dolina zawsze dosyć licznie napełniona, a czasami przepelniona, na czem p. Bilse z pewnością dobrze wychodzi. Z koncertami pojedynczych artystów choć bardzo ciekawych i starannie urządzonych, inaczéj się dzieje i częściej pustki im towarzyszą jak przepelnienie. Powodem tego brak praktyczności i pewna doza zbytelnego o sobie zarozumienia, co się w zwyczajnym języku pychą mianuje.

Zawadzwszy o ten skopuł będący powodem licznych utrapień ludzkości, nie mogą tu pominąć odebranego listu z podpisem Piorun, który rzecz tę w kilku obrazkach dosadnie przedstawia.

Zamianowałem się Piorunem — pisze korespondent — bo nie mogąc tych gromów mieć na swe rozkazy, choć nazwą chciałbym piorunować niektóre nasze sprawy, domagające się gwałtem wyszydzenia.

Kubuś miał dzierżawkę i miał się żenić; przysłył teś rozsądny człowiek, zabronił mu wszelkich choćby najmniejszych wydatków, na tak zwane urządzenie domu i wyekwipowanie się.

— Jak się dorobicie — rzekł mu — pomyślicie dopiero o koczku, cugu, służbie i rozszerzeniu domu. Posażek jaki wam dam zrobi was zamożnymi dzierżawcami, to was przy pracy i oszczędności zбогaci, i wtenczas bez grzechu będziecie mogli się urządzać więcéj zbytkownie.

Kubuś przyrzekł i niedotrzymał. Nieszczęśliwie: *co ludzie powiedzą?*... tak mu zakreśliło głowę, że wystąpił jak pan do ślubu i przyjęcia w dom młodej małżonki. Posażek więc poszedł na dlugi, w interesach zostało kilka dziur jeszcze nie załatwionych, które drąc się i rozszerzając, po upływie roku postawiły go po nad przepaścią z której co chwila wygląda ruina. Na takich Kubusiów jakże pragnąłbym mieć w ręku piorun. Biedni oni, ale biedniejsza społeczność do której należą.

Pan Wrzask jedynym do porównania i dowodzeń. Filozof, dyplomata, ekonomista, agronom, przemysłowiec, wszystko co kto chce ma z niego, a jaki zwolennik pracy, jaki pogromca społecznych przesądów, to czysty anioł w ludzkim ciele. Bliski jego krewniak obarczony liczną rodziną, ratując się od zupełnego upadku, powziął zamiar handlowania grzybami, drzewem, masłem, wszystkim czem można aby tylko uczciwym zarobkiem ratować się od głodu i nędzy. Pan Wrzask aż podskoczył z oburzenia.

— Jaktó — wrzasnął — ty noszący moje nazwisko, masz się zniżyć do tak nikczemnego zajęcia? Nie zgadza się to ani z mojem stanowiskiem, ani ze wspólną rodą naszego przeszłością. Czemu mam podzielić się z tobą ostatkiem (nb. ma na oko wiele, ale wszystko w ostatecznej dezorganizacji, tak że często na funkcik mięsa niema grosza), otóż podzielić się z tobą wszystkim, ale ani mi się waży pomysł swój wprowadzić w wykonanie.

Krewniak usłuchał, został próżniakiem, klepie biedę razem z panem Wrzaskiem, a dziatwa chowa się na paniczów bez nauki i nauczyciela i bez żadnych widoków i przyszłości.

Och! pioruna — pioruna na podobnych Wrzasków.

Na kolei spotkałem się z panem Tchórzem, ze szczupłym nader dochodem, wracającym z Warszawy do miasteczka przy drodze żelaznej położonego.

— Którą jedziesz klasą? — zapytałem.

— Drugą.

— Ja trzecią, szkoda byłibyśmy jechali razem.

— Żałuję mocno, ale muszę jechać drugą, bo co by to u nas powiedziano, gdyby zobaczono mnie wysiadającego z trzeciej klasy.

— Ale to znaczna oszczędność trzecia klasa, a przy naszych funduszach....

— To prawda — odrzekł wdychając — ale w małych miasteczkach ogromnie na to zważają....

— To ty na nich nie zważaj....

— Niepodobna!

— Trzeba choć troszkę odwagi cywilnej...

— W podobnych wypadkach nie mam jej ani odrobiny.

I pojechał drugą klasą, chociaż oszczędność dziesięciu złotych byłaby mu nader dogodną.

Redaktorze! i cóż ty na to?

Pan Pyszałek zgromił mnie widząc wchodzącego do zwyczajnej bawarii.

— I nie wstydzisz się chodzić w takie miejsca?

— A ty nie wstydzisz się bywać w słonocennych restauracjach.

— Tam co innego...

— Zapewne, bo tam trzeba płacić rublami a tu dziesiątkami.

— Stać mnie na to.

— Więc bywaj, a mnie nie stać więc nie bywam.

— Ale tam sam motloch zapijający się bawarem...

— Prawda że nie szampanem, ale to na jedno wychodzi.

— Przecież nie wszyscy w pierwszorzędnym zakładach upijają się...

— A w bawarii wszyscy?

— Ej! dziw ak jesteś.

— Zapewne, kiedy przypadkiem, wchodzę do waszych słonocennych zakładów, to skradam się do nich z wielką nieśmiałością, bo mi się zdaje że poczciwi i rozumni ludzie, szepczą sobie wskazując na mnie: marnotrawca, zbytnik, trwoniciel. Na wchodzącego do bawarii nikt tego nie powie, bo na uraczenie własne dwie dziesiątki aż nadto wystarczą, a na poczęstunek towarzysza drugie dwie i traktament skończony.

— Ale tu mam towarzystwo z ludzi złożone...

— A w bawarii z bydła?

— Bądź zdrow uparciuchu!

— Bądź zdrow pyszałku!

I rozstaliśmy się, straciwszy przynajmniej z dziesięć procent w dobrej o mnie opinii, jedynie tylko dla tego, że według dochodów urządzam wydatki, a nie zadłużam się i nie rujnuję dla czegoż pozoru.

Podobnych obrazków mógłbym Wam Redaktorze więcéj przytoczyć, ale i tych dosyć.

WIADOMOSCI BIBLIOGRAFICZNE.

Jak pielegnować zdrowie, skreślił Wilhelm Lubelski Doktor Medycyny (odbitka z kalendarza ilustrowanego Kaufmana). Warszawa 1869 r. w 12.

Jestto wstęp, albo streszczenie prawie całej higieny i rzeczy nie nowe wprowadzie, ale porządnie uszykowane i gładko wypowiedziane. Mianowicie też cały ustęp traktujący o mieszkaniu niejedną ważną nasuwa uwagę. Z pobieżnego traktowania rzeczy przebiega jednak gruntowna znajomość przedmiotu a od niechęcia, po części w nawiasie, robione wzmianki jawnie okazują, że autor obeznany z wszelkimi postępami ulepszeniami u obcych, mógłby nas rzeczywistej wartości higienicznem obdarzyć dziełem. Piśmiennictwo nasze nie obituje zbytelnie w tego rodzaju publikacje, tym więc bardziej praca p. Lubelskiego zasługuje na uznanie.

Przewodnik Warszawski Informacyjno-Adressowy na rok 1869 przez Wiktora Dzierżanowskiego, Naczelnika Wydziału Informacyjno-Adressowego Zarządu Warszawskiego Ober-Policmajstra. Rok pierwszy. Warszawa 1869 in 8 maj. Cena rs. 1 k. 50, a na prowincji rs. 1 kop. 80 str. 378 i 210.

Podręcznik ten połączony ze zwykłym kalendarzem zawiera wszystko, co zapowiedziano w tytule. Porządny, starannie ułożony, z pokonaniem niejednej

przeszkody, jak łatwo się domyśleć, wielce dogodny, a często nieodzowny nie tylko dla Warszawy, ale i mieszkańców prowincji, jedną ma niedarowaną wadę — jest za drogi. Książka, której odbył nie ulega wątpliwości, a zatem w nieznacznej liczbie egzemplarzy rozchodzić się musi, książka, której użyteczność po upłynionym roku jest względna, że nie powiemy żadną, książka wreszcie, która zapewne nie z winy wydawcy tak późno wyszła na widok publiczny, a która pragnie jednak pozyskać sobie wziętość i rozpowszechnienie, na które wartością wewnętrzną istotnie zasługuje, powinna być znacznie tańszą, tak aby nabycie jej dla wszystkich było przystępne.

DONIESIENIA LITERACKIE.

N. 73. *Przyjaciela Dzieci* wyszedł z druku i zawiera: Lud włościański w Czechach (z drzeworytem). Wielkość dzieł Bożych w ich ogromie. — Mglawice. Dziwne zdarzenie (z ryciną.) Laponja, czyli zima spędzona pod ziemią, opowiedział Lucjan Falkiewicz. Niesmućcie się (wiersz) przez L. Żarłoczny Indjanin (z ryciną). Myśli i Zdania. Cena w Warszawie miesięcznie kop. 35, kwartalnie rs. 1 kop. 5. Na prowincji, w Cesarstwie i zagranicą kwartalnie r. 1 kop. 75.

Nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego (ulica Nowolipie N. 2414/15) wyszła w dalszym ciągu wydawnictwa Froebrowskiego:

Nowa metoda nauczania czytać bez sylabizowania

z dodaniem stosownego Elementarza, wypracowana przez ks. W. Bujakowskiego. Cena kompletu z przyborami kop. 25; metoda oddzielnie sprzedaje się po kop 10 a Elementarz służyć mogący do ćwiczeń przy uczeniu czytać każdym sposobem po kop 6. Biorącym na tuziny odstepuje się rabat.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkusowego.

N. 22. *Toczek z kwiatami i kokardami.*

Bukiet ponsowych polnych róż, z trawą oraz kokardą z czarnej mantynowej wstążki, zdobi ten zgrabny kapelusik.

N. 23. *Suknia wizytowa „Watteau à Panièrs”*

Na sukni mielionej z materyi białej z niebieskim, ubranie stanowią falbanki i buffy, z niebieskiej w jednym kolorze jedwabnej gazy, rulki zaś i szarfa, niebieskie atlasowe. Przedni bryt urządził się fartuszkowym sposobem, tylne zaś bryty szerokie i znacznie dłużéj powłóczysto skrojone, przyszywają się z boków, mocno nadmarszczone, do przedniego bryta, kliniasto skrojonego, co tworzy „Panièrs”. Szeroki wolant u przodu sukni, u dołu rękawów i do koła tylnych brytów z materyi co suknia. Szmizetka kwadratowa z koronki Valenciennes, w fałdowany żabot ułożona pod szyję. Podłużna atlasowa kokarda z dwoma spadającymi końcami, nad czołem trochę z boku we włosach przypięta, dopełnia tego pięknego ubrania.

N. 24. *Suknia „Lavallière”, z tuniką.*

Suknia z lilla materyi, z falbanką w głębokie fałdy ułożona z atlasowym nagłówkiem tego samego koloru zakończona. Tunika robi się osobno i przypina na powłóczystą suknię. Tylne bryty spódnicy są u góry i na bokach proste, przednie zaś wąskie ścina się do tyłu, aby lepiej leżały w przysyciu do stanika. Dla łatwiejszego zrozumienia ryciny 24 rozpór z tyłu nie doszywa się w brycie, lub też w szerokiej bardzo materyi przecina. Ten rodzaj tuniki można także dla odmiany w fałdy podnieść. Wolant zdobiący suknię u dołu, szeroki jest 25 centy. Falbanka 3 cent. szeroka garniruje wycięcie stanika, ale tylko jako nagłówek koronkowego białego

wszycia szerokości 7 do 8 cent. Zastosowana jest do tego szarfa z atlasowej wstążki i koronki. Szmiżetka i rękawy z buffek jedwabnego tiulu przedzielanych atlasowymi rulkami. Naszyjnik z atlasowych wstążek podług ryciny N. 10. Kokardy atlasowe na ramionach i ranwersie. Bandeletki i Kokarda we włosach dopełnia téj eleganckiej toalety.

N. 25. Toczec pikowy dla małych chłopców.

Cały toczec składa się z owalnie wyciętego materiału 56 cent. mającego długości, 27 cent. szerokości. Środkiem przyszywa się od spodu wążka tasiemeczka, w którą wsunięta jest cienka trzcinka 28 cent. długa. Następnie układają się głębokie fałdy, które stanowią główkę 15 cent. długą. Fałdy te składają się i przyszywają do paska 6 cent. wysokiego a 38 cent. długiego. Na wierzchu toczka umieszczony pasek pikowy obszty tasiemeczką w ząbki i ułożony w płaskie gładkie fałdy. Z paska 2 1/2 szerokiego ułożona jest kokarda z przodu większa jak z tyłu. Do wiązania użyte są szarfy batystowe obrębiane.

N. 26. Kapelusik pikowy dla dziewczynek.

Rondo tego kapelusza 38 cent. długie 76 szerokie, u dołu powinno mieć tylko 5 cent. Kraje się z podwójnego materiału i przesywa parę razy tak, aby można w 3 miejscach wzdłuż wpuścić trzcinkę. Główka z kawałka 21 cent. długiego a 24 cent. szerokiego, układa się w fałdy i do tego przyszywa karczek prosty 21 cent. długi — ułożony w duże fałdy. Tasiemeczka w ząbki lub karbowana, służy do ozdoby kapelusika; tą samą tasiemeczką oszywają się bandaż batystowe, kokardy i karczki.

N. 27. Napierśnik szydełkową robotą.

Materiał Estramadura N. 5, kolorowa wstążeczka i tasiemeczka wążka. Zaczyna się na 10 oczek zwyczajnych, na których odwróciwszy robotę znów 10 ścisłych. (Trzeba uważać że tu zastosowany jest sposób robienia tam i napowrót, co w robocie tworzy jakby paski karbowane) 2 rząd: 4 ścisłe. 3 powiet. 3 opuścić, 3 ścisłe, 3 powietrzne. Trzy oczka które się za każdym rzędem pozostają tworzą ząbki brzeżne, na których zaraz następny rząd zacząć trzeba, przez co napierśnik powiększa się. — 3 rząd cały ścisłymi oczkami zapelniony. Ponieważ za każdym rzędem gładki rząd się powtarza opiszemy tylko te w których deseń wrobiony.

4 rząd. 6 ścisłych — 5 pow. — 3 ścisłe — 3 pow.

6 rząd. 4 ścisłe — 3 pow. — 3 ścisłe — 5 pow. 3 ścisłe — 3 pow. Te 3 ścisłe powinny zawsze wypadać nad pięcioma powietrznymi, dla tego w następnych rzędach 5 oczek z początku, a 4 oczka na końcu będą opuszczone.

8 rząd. Tu zaczyna się gubienie oczek w szyi. Trzeba więc zgubić 1 oczko i zrobić 5 ścisłych — 5 pow. — 3 ścisłe — 5 pow. — 3 ścisłe i 3 pow.

10 rząd. 1 oczko opuścić, 8 ścisłych — 5 pow. — 3 ścisłe — 5 pow. — 3 ścisłe — 3 pow.

12 rząd. 1 oczko opuścić — 3 ścisłe — 5 pow. 3 ścisłe — 5 pow. — 3 ścisłe — 5 pow. — 3 ścisłe 3 pow.

Do końca pierwszego zęba jest jeszcze 17 rzędów podwójnych. Tło zatem będzie coraz większe, a brzeg robić trzeba zawsze podług 12 rzędu. W 24 rzędzie należy 3 pow. ostatnie opuścić, ażeby tym sposobem u dołu ząb utworzyć. Drugą połowę łatwo podług opisanego sposobu wykonać; wielkość zależy od woli i potrzeby. U góry trzeba raz gładkimi ścisłymi oczkami przerobić, następnie 3 ścisłe, 3 pow. i znów 3 ścisłe, tym sposobem uformuje się brzeżek, przez który przeciągnąć wstążeczkę, która także zdobie cały napierśnik. Do wiązania przy szyi i pod pachą przyszyte są tasiemeczki.

N. 28 i 29. Dwa czepeczki dla dzieci.

Krój w dodatku N. XII fig. 28 — 29.

N. 28 Czepeczek do chrztu. Pojedyncze części

składają się z pasków gładkich tiulowych i z wszystkich koronkowych przez które przeciąga się wstążeczka atlasowa.

Garnirowanie jest z tiulu obsztyego koroneczką; w fałdach umieszczone kokardki przyciśnięte rulonikiem. Z tyłu kokardki ze wstążki szerszej; wiązanie pod brodą także same.

N. 29. Nocny czepeczek dla dziewczynki.

Z cienkiego płótna trzeba wykroić wszystkie części, uważając aby środek był skośny, obrabić je do koła i połączyć wstawką nicianą lub z frywolitów; odpowiednią koroneczką obszty czepeczek i bandaż.

N. 30. Sukienka do chrztu.

Krój N. VI Fig. 13 — 15.

Do staniczka którego krój podajemy, przymarszyć trzeba spódniczkę 74 cent. długą na której jest haft u góry 11 cent. szeroki, u dołu 59 centy. składający się z kwadratów takich jak na staniczku widzimy jeden. Cały haft jest aplikacją muslinu na brukselskim tiulu. Cały deseń należy wydzięgać lub ośzyć sznureczkiem, gwiazdki i gałązki wyszyć ścięciem à la minute. W środkach kwadratów muslin się wycina. Z boków i u dołu są jeszcze pasy czyli wstawki w takiż sposób haftowane i ozdobione koronką. Staniczek oraz rękawki naszyte są wstawką i koronką która u góry przy szyi nawleczona jest wstążeczką zawiązaną na kokardkę. Haftowane wstawki i gwiazdki można zastąpić koronkami lub z frywolitów.

N. 31. Kaftanik dla dziecka rocznego.

Krój Nr. I fig. 1 — 3

Przy krajaniu tego kaftaniczka z piki, trzeba z przodu do formy przypuścić 4 Cent. na kontrafałdę, która się zamocowywa do połowy długości i na niej przyszywa pasek haftowany. U szyi dana jest wstawka i ząbeczki haftowane, pod spodem nawłóczka. Rękawki u dołu ozdobione są również wstawką.

N. 32. Kaftaniczek strojnniejszy dla dziecka do dwóch lat.

Krój N. XV fig. 33 — 34.

Kaftaniczek z białego batystu obszty u dołu falbanką batystową z koroneczką; u góry nad falbanką wstawka tiulowa podłożona wstążeczką atlasową. Od ramienia do paska garnirowanie ze wstążki zakończone kokardą. Rękawki ubrane odpowiednio.

N. 33. Napierśnik pikowy wyszty sutaszem.

Krój N. VIII fig. 22.

Na formie napierśnika wyrysowany jest deseń, który się wyszywa sutaszem w ząbki, a później podszywa się perkalem; napierśnik naokoło garnirowany falbanką haftowaną; u szyi ściągnięty na wstążeczkę.

N. 34. Napierśnik pikowy haftowany.

Krój N. XV fig. 33 — 34.

Wzór napierśnika zrobiony jest z piki w deseń, podszyty perkalem i ozdobiony 1 1/2 cent. szeroką wstawką haftowaną i 1 cent. szeroką koroneczką.

N. 35 — 36. Małe koszulki dla nowonarodzonych.

Obiedwie skrojone są z prostego kawałka płótna. Stan 34 cent. długi, 31 cent. szeroki, składa się w ten sposób że brzegi stanowią rozporek w plecach — na bokach przecinają się 14 cent. długie pachy. Jako ramiączko przystębnować trzeba trójkąt od 3—do 4 cent. duży. Wykroj w szyi powinien być obszerny. Do pierwszej koszulki N. 35 rękawki wążkie krajane są bez klinów, ścięte cokolwiek u brzegów, aby jeden koniec zakładał się na drugi. Wykroj w koszulce ułożywszy w drobne marszczki przyszyć do paska i ozdobić tiulikiem. W drugiej koszulce rękawki są kliniasto skrojone, ale z jednego kawałka.

Rękawki oraz wykroj szyi zakończone są wstawką w którą można nawlec wstążeczkę lub tasiemkę.

N. 37. Kołyska ozdobiona muslinem.

Pomiędzy rozlicznymi kształtami kołysek i dziecinnych łódeczek, zalecają się głównie owalne plecione koszyki, zawieszane na brązowych albo lakierowanych stalugach. Zajmują one mało miejsca i mimo łatwego bujania, mocno bardzo i bezpiecznie stoją, a ładnie przybrane elegancko wyglądają.

Na naszym modelu, spód bardzo jest gęsto pleciony, boki zaś rzadko plecione wybite są różową materją lub perkalem glansowanym; od góry spadają ozdoby zwane: *Lambrequin*, to jest festony z białej piki, których prostą formę rycina 37 dokładnie przedstawia. Festony obięte są szmuklerskim brzeżkiem czyli pletnią, a każdy ząb kwastami zakończony. Wygodna pościel wewnątrz kołyski, składa się: najpierw z wysłanego morską trawą materaca dobrze do spodu przystającego, dalej idzie nierównie większy koński włos wycpany materac, wreszcie poduszeczka na zewnątrz zaokrąglona, również włosiem wysłana.

Dla ochrony tego postania kładzie się kauczukowe prześcieradełko, a do przykrycia wełniana kołderka we dwoje złożona, prześcieradłem podszyta.

Poduszeczka kwadratowa pierzem wypchana, powleka się cienką poszeweczką w około haftowaną lub z koronkową wszywką kolorowem połwleczoną. W taki sam sposób ozdobić można brzeg prześcieradła do wełnianej lub pikowanej kołderki.

Całkowite postanie pokrywa się według ryciny 37 pikową kołderką kwadratową z mniejszymi stosunkowo festonami jak u kołyski, a główną ozdobę kołderki stanowi cyfra na środku haftowana. Kolorowa kokarda przytwierdza w nogach do kołyski tę kwadratową kołderkę jednym rogami, drugie dwa w trójkąt je biorąc również kokardami się przyczepiają do boków. Wierzchnie obszerne przykrycie czyli pawilonik z białego przezroczystego muslinu, kraje się zupełnie prosto z całkowitego materiału i narzuca na całą kołyskę przyozdobioną u dołu zębami, pikowemi. Przód zawieszonoego pawilonika na wzniesionym przecie stalugi, na ten cel urządzonym, zbiera się razem w rozetę i przybiera kokardą.

N. 38. Materacyk do długiej poduszki.

Z mocnego i gęstego materiału trzeba skroić ten materacyk zaokrąglony z jednej strony i szerszy od poduszki, gdyż wypchany trawą morską lub włosiem znacznie się wzniesie. Zeszyć mocno za igłą zostawiając tylko mały otwór do napchania, po czem przepikować rzadko mocnymi niemi.

N. 39. Bucik dla małych dzieci.

Krój N. XI fig. 25, 26 i 27.

Bucik jest uszty z materyi kolorowej wewnątrz z białą podszewką, lekko watowany, pikowany w ukośne kwadraciki. Wszystkie części łączą się podług znaków podanych na formie. Podeszewka przyszywa się w ten sam sposób to jest za igłą i z podwębieniem podeszewki. Cały bucik u góry i paska objęte białą materyą. Sznury, guziki i kwasty białe.

N. 49. Wysoki bucik dla małych dzieci.

Krój N. X fig. 24 i 25.

Podług formy wykrawa się z piki lub korciku połowę bucika, druga połowa opatrzona guzikami i zębami do zapięcia, składa się z dwóch części. Brzeg prostej części z guzikami musi daleko pod zęby zachodzić. Wszystkie części otoczone są ukosem perkalem lub z rypsu stosownie do materiału bucika, potem zeszyte wierzchem z lewej strony. Podeszewka w ten sam sposób wpierw objęta ukosem przyszywa się do bucika. Kwasty i guziki z perłowej masy.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.